Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 10 (1584) Warszawa, piątek, 3 lutego 1967 r. Cena 50 gr

Ślizg na wirażu

SANIE znane są w środkowej i północnej Europie od kilku tysięcy lat. Na nizinach zaprzęgano do nich konie, w górach po prostu zjeżdżano. Sanki w sporcie pojawiły się dopiero w latach 1900, a pierwsze wielkie zawody międzynarodowe rozegrano w roku 1914 w Niemczech.

Od tego czasu zwykłe sanki swój kształt zmieniły niewiele, lecz sanki sportowe przybrały specjalny układ i wymiary.

Sanki wyczynowe mają około 1,5 m długości i wysokość 30 cm. Budowane są z drewna (grabu) albo z metalu. Płozy sporządzone są z bardzo twardej stali. Jednak w konstrukcji sanek wyczynowych najciekawsze jest to, że są one ruchome, to znaczy wiązania są tak zrobione, iż mogą się nieco przesuwać w górę i w dół. Dzięki temu płozy dokładnie przylegają do różnych nierówności terenu. Przy tym wszystkim nie ma mowy, by sanki się rozleciały. Są tak mocne, że wytrzymują szybkość 100-150 km na godzinę i siłę uderzenia kilkuset kilogramów.

Saneczkarstwo sportowe największym uznaniem cieszy się w Polsce, Austrii, NRD, NRF, Szwajcarii, Francji, Italii i Hiszpanii. W ostatnich latach rozwinęło się w Skandynawii, Norwegii i Szwecji.

Na stronie 3 przeczytajcie o zawodach na sankach. Znajdziecie tam też szereg praktycznych rad.

Lucjan Kudzia i Mieczysław Pawełkiewicz kierują sankami przy pomocy sznurka i przez odchylenie tułowia. Nigdy natomiast nie dotykają śniegu nogami, gdyż wtedy, przy dużej szybkości, sanki mogą się wywrócić.

Foto: E. Warmiński

Najlepszy podróżnik

● Arktyczna rybitwa to ptak, który odbywa najdłuższe podróże. Przebywa ona na wiosnę i jesienią około 17 tys. km., czyli koło 35 tysięcy km rocznie. Rybitwa ta zakłada swoje gniazda na najdalszych skrawkach północnego lądu i rozpoczyna wędrówkę na południe natychmiast, gdy młode nauczą się fruwać.

Dlaczego o wschodzie i zachodzie są większe

● Słońce i Księżyc, w chwili kiedy wschodzą i zachodzą, wydają się większe dlatego, że w pobliżu horyzontu możemy porównać je z rzeźbą terenu i przedmiotami na Ziemi.

Muchy — milionerki

● Zwyczajna mucha, jak to stwierdzili uczeni, jest nosicielką około miliona bakterii a jej siostrzyca, zamieszkująca śmietniki, nosi na sobie około 6 milionów bakterii.

My średniacy

● Ludzie są coraz wyżsi. Dzieci we wszystkich niemal krajach z reguły przerastają swoich rodziców. Ciekawe, jakie miejsce w międzynarodowej tabeli przeciętnego wzrostu zajmują Polcy:

Oto zestawienie dotyczące mężczyzn: Szkoci i Skandynawowie — 175 cm; Anglicy — 174 cm; Belgowie — 173 cm; Niemcy i Rosjanie — 169 cm; Polacy 168 cm; Francuzi i Włosi — 166 cm; Węgrzy 163 cm. Hiszpanie — 162 cm. i ... Pigmeje — 138 cm.

Pierwsza przygoda Janka

Pamiętacie pierwszą przygodę Janka? Było to w dalekiej tajdze syberyjskiej. Janek, wysłany przez swego rannego opiekuna, starego myśliwego, po korzeń życia, tzw „żeńszeń", do Polskiego Uroczyska, odkrywa kryjówkę japońskiego dywersanta. Między chłopcem a dywersantem wywiązuje się walka, z której zwycięsko wychodzi Janek. Sokole oczy, zręczność, siła i odwaga — to cechy, które przydały się Jankowi i w późniejszych sytuacjach, kiedy był już członkiem załogi czołgu „Rudy".

Foto R. Kropat

LATAJĄCY HOLENDER

NOWY cykliczny program pt. **„Latający Holender"** nadawany przez Gdańską Telewizję zyskał wielu sympatyków. Już w pierwszych dniach po programie nadanym w dniu 7 stycznia nadeszło kilkaset listów z rozwiązaniami zadania nawigacyjnego. Wiele z nich zawierało mapki opublikowane w „Świecie Młodych" z dokładnie naniesionym kursem statku płynącego do Karlshamn.

Rozwiązanie zadania oraz losowanie nagród odbędzie się w dniu 7 lutego o godzinie 17.20 w kolejnej audycji **„Latającego Holendra"**. W audycji tej zostaną opowiedziane dzieje **„Latającego Holendra"**, historia dzwonu okrętowego i „bicia szklanek" oraz będzie można się dowiedzieć, jak zbudować model statku, a komandor Bolesław Romanowski opowie o przygodach okrętu podwodnego „Dzik" w czasie II wojny światowej.

Oto kolejne zadanie nawigacyjne oraz niezbędna do jego rozwiązania mapka. Dobrze by było, żeby wszyscy zainteresowani mieli ją pod ręką w czasie oglądania programu, to na pewno ułatwi prawidłowe rozwiązanie.

Zadanie nawigacyjne nr 2

NASZ STATEK wraca z portu Karlshamn (patrz zadanie nr 1). Jego kurs powrotny różni się o 180° od kursu w tamtą stronę, a więc wynosi 304° — 180° = 124°. Po przebyciu znanej nam odległości około 160 mil morskich, zbliżamy się do Helu.

Określamy swoją pozycję za pomocą dwóch namiarów, to jest znajdując na kompasie kierunki, w których widać dwie latarnie morskie: Jastarnię i Hel. Jak wykonuje się namiary, zostanie pokazane w „LATAJĄCYM HOLENDRZE" w dniu 7 lutego.

Kierunek na Jastarnię, odczytany na kompasie, wynosi 285°. Odmierzamy ten kierunek na podziałce kątowej mapy, przesuwamy linię wyznaczającą kierunek 285° tak, aby przeszła przez punkt oznaczający latarnię morską w Jastarni i wykreślamy ją ołówkiem. Kierunek na Hel odczytany na kompasie, wynosi 240°. Wykreślamy go na mapie podobnie, jak kierunek na Jastarnię. Na przecięciu obu linii znajduje się pozycja naszego statku w momencie wykonywania obu namiarów.

Zadanie polega na udzieleniu odpowiedzi na trzy pytania:

1. **Jakie są współrzędne geograficzne znalezionej pozycji?**
2. **Jakim kursem należy płynąć z tej pozycji, aby przejść wzdłuż linii wyznaczonej trzema pławami: Hel, GN, NP i znaleźć się przed wejściem do portu gdańskiego?**
3. **Ile czasu zajmie droga od znalezionej pozycji do pławy NP przy prędkości 8 mil morskich na godzinę?**

Rozwiązania na kartkach pocztowych należy nadsyłać do dnia 28 lutego pod adresem: Telewizja Gdańsk, Gdańsk-Wrzeszcz ulica Sobótki 15, z dopiskiem **„Latający Holender"**.

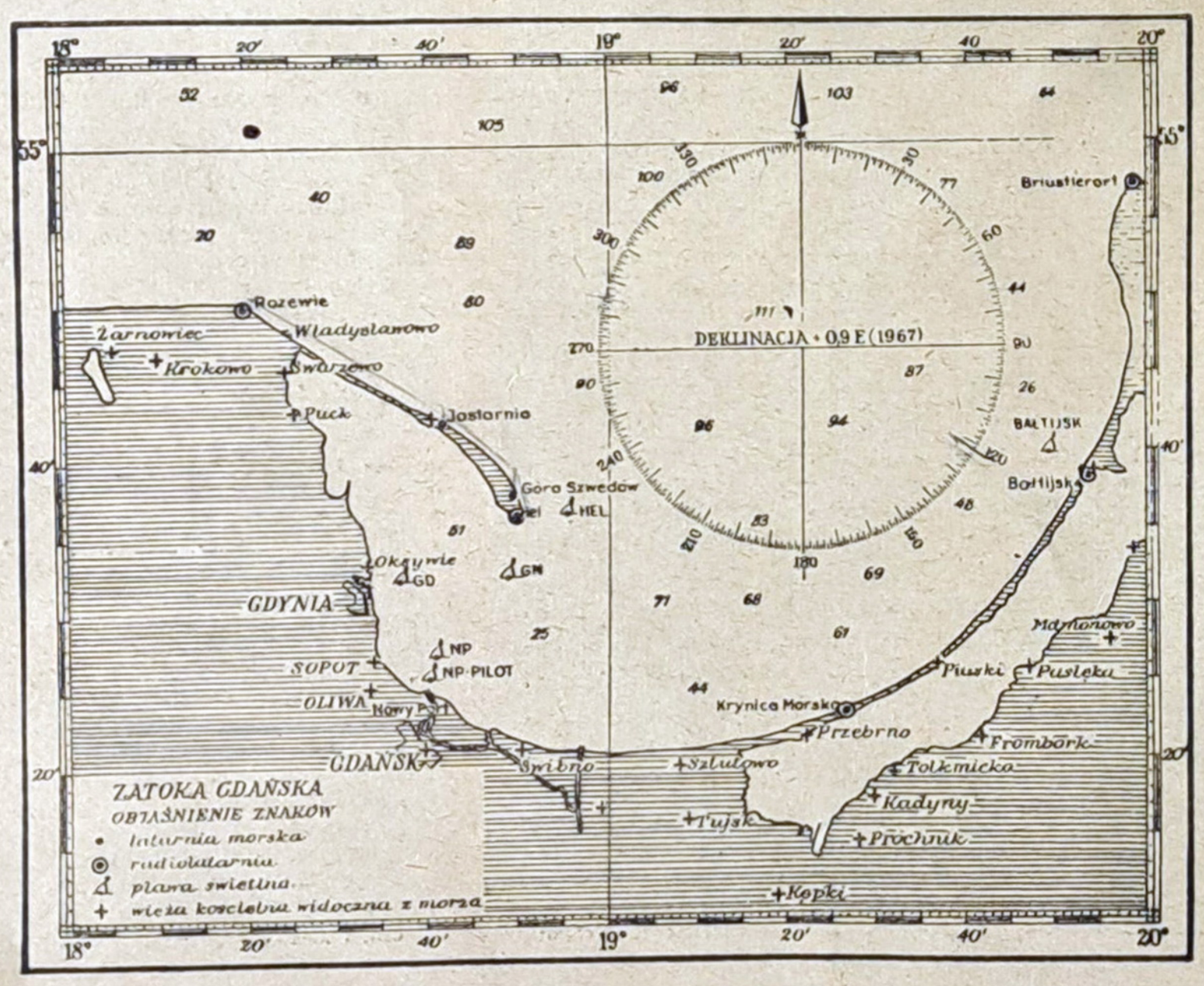

GWIAZDY BIG-BEATU I PIOSENKI

Słowik WROCŁAWIA

Anna German, znana nie tylko z dobrego głosu, ale i ze słusznego wzrostu, podczas przymierzania sukni, w której wystąpiła w San Remo.

Foto CAF

WE WROCŁAWIU zna ją każde dziecko. Dorośli są dumni, że jest wrocławianką. Mówią o niej „Nasza Anna" i nazywają ją „słowikiem wrocławskim" Ale Anna German jest znana nie tylko w stolicy Dolnego Śląska. Zna ją cała Polska, cała Europa... cały świat.

Anna German — nasza znakomita piosenkarka, od kilku tygodni przebywa we Włoszech. Została tam zaproszona na cykl koncertów. Nie pierwszy już zresztą raz. Przed dwoma laty była stypendystką rządu włoskiego.

Droga do sławy

W SZKOLE wyróżniała się wzrostem i nauką. Była najwyższa w klasie i zawsze zbierała piątki. Była dzieckiem wszechstronnie uzdolnionym. Śpiewała w szkolnym zespole, lubiła matematykę i historię, była najlepszą uczennicą języka rosyjskiego.

Po maturze poszła na wydział... geologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Nie zrezygnowała jednak z obcych języków, uczyła się ich prywatnie. Dziś Anna German biegle mówi po rosyjsku, francusku, angielsku, hiszpańsku, włosku, holendersku, niemiecku.

W wypełnionym pracą „po uszy" czasie znalazła jednak wolną chwilę na kontynuowanie nauki śpiewu.

Po kilku latach zaczęły się sypać jak z rogu obfitości dyplomy. Ten zawodowy i najpoważniejszy głosił, że studentka Anna German jest już magistrem inżynierem geologii. A tamte inne zawiadamiały, że kolejno zdawała egzaminy ze znajomości języków.

Pewnego dnia, na prośbę przyjaciół, pani magister inżynier geolog wystąpiła przed kamerami telewizji jako piosenkarka. Sukces był niespodziewany i wielki.

Na nowej drodze życia

OD TEGO DNIA zaczyna się nowy rozdział w życiu Anny German. Występuje coraz częściej przed publicznością, uczestniczy w koncertach i festiwalach. Zagraniczni impresaria oczarowani jej głosem zapraszają ją na koncerty do swoich krajów.

Wyjazd do Związku Radzieckiego był jej wielkim sukcesem. Rosjanie nagrali piosenki Anny German w setkach tysięcy płyt gramofonowych, które następnie między innymi w mig rozprzedali w... Polsce na Międzynarodowych Targach Książki.

Po powrocie do kraju Anna German, jako eksternistka, zdała egzamin na wydziale wokalistyki i uzyskała dyplom.

Dalsze jej tournée biegnie przez wszystkie niemal kraje Europy, odwiedza USA. Jej występom towarzyszy zachwyt publiczności i ciepłe recenzje prasy.

Pierwsza w San Remo

W TYM ROKU przyszło zaproszenie od organizatorów festiwalu piosenki w San Remo. Festiwal ten jest największą i najpoważniejszą imprezą piosenkarską na świecie. Ten, kto wystąpi w San Remo, jest automatycznie uważany za piosenkarza w światowej czołówce.

Organizatorzy festiwalu pozwolili Annie German, jako jedynej wśród uczestników, na wybranie sobie repertuaru.

Najlepsza włoska wytwórnia płyt gramofonowych „Modunia" podpisała z Anną German czteroletnią umowę i uzyskała prawo wyłączności nagrywania jej piosenek.

Anna German dała już kilka koncertów we Włoszech. Wielkie dzienniki rzymskie, mediolańskie, neapolitańskie rozpisują się w pełnych zachwytu recenzjach nad pięknem jej głosu i uważają ją za czołową piosenkarkę Europy, a nawet świata. Telewizja włoska zawiadomiła swych odbiorców, że wkrótce przedstawi program specjalnie przygotowany o Annie German.

I jeszcze jedno: w tych dniach wielka amerykańska wytwórnia filmowa zaproponowała Annie German czołową rolę w swym najnowszym filmie muzycznym.

Długa i pełna wyrzeczeń była droga Anny German do sławy. Pracą, cierpliwością i uporem pokonała wszystkie trudności i przeszkody.

SŁAWOMIR ORŁOWSKI

WIELKI SEZON ROZPOCZĘTY

ZIMA dla sportowców na sankach dopiero się właściwie zaczęła. Lód na torach stwardniał na tyle, że można już trenować i rozgrywać zawody. W Karpaczu rozegrano mistrzostwa Polski klubów Centralnej Rady Związków Zawodowych. Czołowi zawodnicy wyjadą na starty zagranicę; 4—5 lutego wystąpią na torze olimpijskim w Villar de Lanch, we Francji, a w marcu czekają ich mistrzostwa świata — Szwecji.

O tym, na jakie sukcesy możemy liczyć, dowiemy się dopiero po zawodach międzynarodowych, w których obok Polaków o pierwsze miejsca będą walczyli Niemcy, Włosi, Francuzi, Austriacy. Nasi zawodnicy do sezonu przygotowali się dobrze. By zdobyć ogólną sprawność fizyczną, jeździli dużo na nartach wodnych, uprawiali lekką atletykę, skoki do wody, wielu latało na szybowcach. Do tego trenowali na sankach, mających zamiast płóz cztery kółka.

Trenerzy, w nadchodzących imprezach międzynarodowych, najwięcej liczą na Jerzego Wojnara, który doświadczeniem jazdy na sankach bije innych na głowę. Jednak obok Wojnara jest wielu innych zdolnych saneczkarzy. Pięknie jeżdżą: Stanisław Saiecki z KTH Krynica, Lucjan Kudzia, który obecnie jest marynarzem, Ronuald Żukowski, Jerzy Nasiek — 19-letni wicemistrz Śląska. Nasiek jest również lekkoatletą i skacze w dal 714 cm.

Wśród dziewcząt największe szanse na zwycięstwo mają: Halina Macher, pracownica powiatowego wydziału finansowego w Pszczynie, Ewa Głowaczewska z Karpacza, Anna Mąka, uczennica z Krakowa, Wiesława Martyka, uczennica z Katowic, wicemistrzyni Europy juniorek z roku 1965.

Najsłynniejsze tory

POLSKA: Najlepszym i najdłuższym, chociaż już nie najbardziej nowoczesnym torem saneczkowym, jest tor w Krynicy zbudowany w roku 1935 przez inż. Loteczkę. W tym samym roku w Krynicy odbyły się mistrzostwa Europy. Tor w Krynicy ma 1500 metrów długości i 5 wirażów.

Dlaczego tor w Krynicy nie jest nowoczesny? Po prostu ma za mało zakrętów. Np. krótszy, 1000-metrowy, tor w Mikuszowicach ma ich 9. Większa ilość wirażów wymaga od saneczkarza lepszej techniki jazdy. Poza tym zakręty sprawiają, że zjazd odbywa się z mniejszą szybkością. Tory nowoczesne są więc wolniejsze, lecz bardziej bezpieczne. W Polsce mamy jeszcze tory w Karpaczu, Duszznikach, Świeradowie i nad morzem — w Sopocie. Mimo że nad morzem śnieg nie leży długo zawodnicy z Sopot należą do czołówki krajowej. Zofia Hlasko z MKS Sopot zdobyła nawet w 1964 roku wicemistrzostwo Europy juniorek.

AUSTRIA: Najbardziej znanym torem jest tor olimpijski w Igls. Na nim w roku 1964 odbyły się Igrzyska Olimpijskie.

FRANCJA: Po zlikwidowaniu starego, nowy tor wybudowano w Villar de Lanch koło Grenoble. W przyszłym roku zostaną na nim rozegrane Igrzyska Olimpijskie.

SZWECJA. Do najciekawszych należy tor w Hammerstrand, małym 5-tysięcznym miasteczku położonym na Dalekiej Północy, zaledwie o 500 km od koła podbiegunowego. Koło Hammerstrand nie ma wysokich gór. Najwyższe mają 364 m. Na torze w Hammerstrand odbędą się w dniach 19—20 lutego mistrzostwa saneczkowe świata.

NRD: Największy tor znajduje się w miejscowości Freiedrichrode w górach Harzu, ale najładniejszy jest w Wernigerode zabytkowym miasteczku zbudowanym w XIII wieku.

MISTRZ

Z przyjemnością mogę Wam powiedzieć, że dotychczas za najlepszego saneczkarza świata uważany jest mgr Jerzy WOJNAR, świetny szybownik, pilot samolotowy i niezrównany akrobata lodowych torów.

Jerzy Wojnar zdobywał mistrzostwo świata w 1958 roku w Krynicy i w 1961 w Girenbad w Szwajcarii.

Oto podstawowe cechy, które charakteryzują Wojnara:

— Błyskawiczna orientacja
— Odwaga
— Spostrzegawczość
— Refleks
— Zwinność i siła
— Szybka decyzja.

Do tego można by dodać dobrą technikę jazdy zdobytą dzięki wieloletniemu treningowi.

Do Wojnara należy rekord świata w zjeżdżaniu na sankach. Na torze w Krynicy na prostym krótkim odcinku uzyskał szybkość 120 km na godzinę.

Pan Źróbik radzi

Najpierw wyjaśnienie. Włodzimierz Zróbik jest trenerem kadry narodowej i człowiekiem, który w znacznym stopniu przyczynił się do rozwoju sportu saneczkowego w Polsce.

— Gdy miałem 16 lat i mieszkałem w Karpaczu trafiłem pewnego razu na stare sanki porzucone w lesie. Siadłem, pojechałem a po kilkunastu dniach na sankach jeździło już pół Karpacza. W tym czasie Polskiego Związku sportów Saneczkowych jeszcze nie było. Napisaliśmy więc do Polskiego Związku Narciarskiego z prośbą o stworzenie sekcji sportów saneczkarskich. Prośba została spełniona, a po latach saneczkarze zorganizowali się w własnym Związku. Ja z zawodnika przerodziłem się w działacza i trenera.

Co mogę i powinienem Wam radzić?

● Jeśli macie sanki i jest was na jakiejś górce kilkunastu, postarajcie się zbudować tor. To wcale nietrudne. Wystarczy wylać kilkanaście kubłów wody i w kilku miejscach ubić ze śniegu wiraże. Dzięki nim jazda będzie ciekawsza, bardziej urozmaicona.

● Jazda na sankach jest prosta. Wystarczy usiąść i dobrze się trzymać deski. Podkreślam, należy usiąść. W żadnym razie nie należy się kłaść głową do przodu. To niebezpieczne. Kiedy sanki gwałtownie się zatrzymają polecicie na przeszkodę i o wypadek nie będzie trudno!

● Na sankach mogą jeździć wszyscy, ale uprawiać sport saneczkowy nie. Do sekcji wyczynowych przyjmuje się chłopców i dziewczęta po ukończeniu 14 lat. Każdy kandydat na mistrza saneczkowego musi być wysportowany, musi być silny, zdrowy, musi mieć dobry refleks. Pamiętajcie, że na sankach uzyskuje się duże szybkości, przy których upadki są groźne.

Z OSTATNIEJ CHWILI

● 3 brązowe medale zdobyli polscy saneczkarze podczas mistrzostw Europy, które odbyły się w zachodnio-niemieckiej miejscowości Koenigssee. W jedynkach kobiet trzecie miejsce wywalczyła Majcherówna, a wśród mężczyzn — Matlak i bracia Gawiorkowie (w dwójkach).

MEDALIŚCI NA SANKACH

Na rozegranych dotychczas mistrzostwach saneczkowych świata medale zdobyli:

ZŁOTE

MS 1958 rok, Krynica, Polska — Jerzy Wojnar
MS 1961 rok, Girenbad, Szwajcaria — Jerzy Wojnar
MS 1963 rok, Imst, Austria — Ryszard Pędrak i Ryszard Kudzia w dwójkach.

SREBRNE

MS 1958 rok, Krynica — Helena Szubert, Janina Suszczewska i Jerzy Koszla w jeździe parami.

MS 1962 rok, Krynica — Jerzy Wojnar.

MS 1963 rok, Imst, Austria — Edward Fender i Mieczysław Pawełkiewicz w dwójkach.

MS 1965 rok, Davos, Szwajcaria — Mieczysław Pawełkiewicz.

BRĄZOWE

MS 1958 rok, Krynica — Barbara Gorgoniówna — Ryszard Pędrak i Halina Lacheta w jeździe parami.

MS 1962 rok, Krynica — Danuta Nyczówna.

KONKURENCJE SANECZKARSKIE

Na wszystkich zawodach wyścigi na saneczkach rozgrywane są obecnie w trzech konkurencjach. Jedynki mężczyzn, jedynki kobiet i dwójki mężczyzn. Dawniej jeżdżono jeszcze parami.

Tory lodowe są zbudowane sztucznie na zboczach gór. Tory mają powierzchnię lodową. Na wirażach tor ma wysokie ściany dochodzące do 3 m i zabezpieczające zawodnika przed wyskoczeniem na zewnątrz.

Opracował WITOLD DUŃSKI

W roli Maryni wystąpi Elżbieta Zagubień (lat 12) „gwiazda" telewizyjnego Violinka. Będzie to film fantastyczny, a wszystkie „cuda" będą się działy w zwykłym mieszkaniu małej Maryni w noc Bożego Narodzenia. Nagle ożyją martwe przedmioty, pojawią się księżniczki z bajki, a piernikowi żołnierze stoczą wielką bitwę.

wym, a pan to jej asystent. Realizują właśnie film pt. „Dziadek do orzechów". Zaproponowali mi rolę w tym filmie. Mama nie była zachwycona propozycją. Mówiła, że może mi się przewrócić w głowie, że muszę się uczyć. Robiłam do niej błagalne miny i to chyba pomogło.

Przez wakacje czytałam książkę E.T.G. Hoffmanna pt. „Dziadek do orzechów", według której opracowano scenariusz. Nie mogę powiedzieć, nawet ciekawa. Kiedy jednak wróciłam do szkoły, już do siódmej klasy, zapomniałam zupełnie o filmie.

I nagle przyszło do domu zawiadomienie: „We wtorek o siódmej rano zgłosić się na ul. Chełmską do atelier". Mama była przerażona. Trzeba będzie wcześniej wstać, chyba o piątej, mieszkamy przecież na drugim końcu Warszawy. Rano jednak przyjechał po mnie mały autobus, który zabierał z domów dzieci, grające w tym filmie.

W zimnym, ponurym atelier czekało mnóstwo chłopców i dziewcząt, w filmie bowiem bierze udział aż 50 dzieci. Zauważyłam nawet dziewczynkę z „Violinka", którą widziałam kiedyś na ekranie telewizora. Było też dwóch długowłosych chłopców, trochę podobnych do Beatlesów. Okazało się potem, że w filmie grają rolę dziewcząt. Najbardziej się wymądrzali uczniowie ze szkoły baletowej. Zupełnie jakby już grali co najmniej mniejszych i większych. Liczne zestawy, dużych mlecznych żarówek wisiały mi nad głową. Jeszcze więcej było ludzi, którzy kręcili się tu i tam, nie wiadomo po co. Tutaj też dowiedziałam się najważniejszych rzeczy, że w filmie mam grać kuzynkę Ludwikę. Obok mnie siedziała dziewczynka, ta z „Violinka", która miała powiedzieć:

— Ależ naprawdę, to była straszna i wielka bitwa.

A ja miałam jej przerwać:

— Marynia kłamie.

Potem wtrąciła się jakaś starsza pani, prawdziwa aktorka, grająca rolę cioci, która mówiła:

— Ależ nie, Ludwiko, to było naprawdę.

A ja odpowiedziałam trochę nieszczerze:

— Skąd Maryni takie dziwne rzeczy przychodzą do głowy?!

I to była cała moja rola. Kiedy jako tako umiałam wypowiedzieć te dwa zdania, operator stojący za kamerą filmową krzyknął:

— Światło!

Przestałam cokolwiek widzieć, tak byłam oślepiona. Natychmiast zrobiło się gorąco, a parę osób zaczęło dyskutować, jak najlepiej nas oświetlić. Czułam, że szminka cieknie mi po twarzy, ale charakteryzator czuwał i co chwila mnie przypudrowywał. Potem podsunięto nam mikrofon, zawieszony w bufy. Rękawy i dół sukni wykończony był grubymi falbanami z koronki. Miałam też kapelusz w kształcie budki w kolorze różowym. W pracowni spotykałam znanych mi z filmu i z telewizji aktorów, którym też szyto specjalne kostiumy do filmu. Przychodził pan Gliński, Dzwonkowski, Niemczyk, a najbardziej podobała mi się pani Wrzesińska — śliczna. Maryni z „Violinka" szyto aż pięć sukien i koszule nocne, które wyglądały jak suknie balowe. Dostałam lakierowane czarne czółenka i białe pończochy. „Gdyby się tak pokazać w szkole na zabawie karnawałowej" — marzyłam.

Wszystkie stroje były już gotowe i znów przyjechał po mnie samochód o siódmej rano. Teraz w atelier zbudowane były trzy duże pokoje. Sypialnia, jadalnia i salon, gdzie właśnie miano nakręcać pierwszą scenę. W salonie stały stare meble: kanapa, fotele, fortepian. Ustawiono śliczną, prawdziwą choinkę ubraną w mnóstwo zabawek. Ściany poobwieszano portretami i starymi rysunkami. Wisiał też zegar, z którego wyskakiwała kukułka. Wszystko było prawdziwe, w tym pokoju oprócz sufitu, bo zamiast niego było mnóstwo reflektorów. Prawdziwe były też ciastka i herbata w cienkiej porcelanie, którą poustawiano na stole. Ubrano mnie w moją suknię, ucharakteryzowano i wprowadzono do pokoju, gdzie na fotelach siedziała ciotka Michalina, generał Frycek, Marynia i jej ojciec, czyli mój wujek, i ja.

I znów zaczęło się czekanie, przestawianie, zmienianie. Oświetlano nas przez cały czas reflektorami, bolały mnie oczy, głowa. Pociłam się strasznie. Prawdziwi aktorzy do-

Akcja filmu rozgrywa się w czasach Księstwa Warszawskiego, kiedy to i dzieci, i dorośli chodzili w dziwnych strojach. I nawet małe dziewczynki nosiły długie suknie i peruki. Piękne historyczne kostiumy do filmu zaprojektował znany grafik — Antoni Uniechowski. Scenariusz na podstawie fantastycznej opowieści E. T. A. Hoffmanna opracowały dwie autorki: Maria Krüger, i Halina Bielińska, która film reżyseruje.

Foto: Renata Pajchel

Jak zostałam „AKTORKĄ"

HISTORIA, którą wam opowiem, zdarzyła się naprawdę i jeszcze się nie skończyła.

Zaczęła się niespodziewanie pod koniec roku szkolnego, kiedy to po przedwakacyjnych zakupach byłyśmy z mamą zmęczone i głodne. Postanowiłyśmy zjeść obiad w restauracji. Tłok, ale miałyśmy szczęście — w samym końcu sali zauważyłyśmy wolny stolik. Pobiegłam pierwsza, by go zająć. Kiedy już usiadłyśmy, spostrzegłam, że przy najbliższym stoliku siedzi jakaś pani w towarzystwie dwóch panów i bardzo mi się przygląda.

— „Czyżbym jej nadepnęła na nogę biegnąc do stolika" — pomyślałam. I widząc, jak ta pani wpatruje się we mnie i mówi coś do tych panów — zrobiło mi się bardzo głupio. Starałam się moje zmieszanie zatuszować uśmiechem.

No, a potem stało się. Pani wstała i podeszła z jednym z panów do naszego stolika, okazało się, że pani jest reżyserem filmowym 50 filmie. Byłam śpiąca i głodna. Nie zdążyłam zjeść porządnego śniadania.

Dopiero koło dziesiątej godziny zawołano mnie do garderoby i oglądano ze wszystkich stron. Miałam się ubrać w starą poplamioną brudną spódnicę i jakąś okropną bluzkę. Strasznie! Moje ubranie niczym nie naśladowało pięknego stroju, jaki na rysunku zaprojektował pan Antoni Uniechowski. Wciągnęłam na siebie te łachy i zabrano mnie do charakteryzatorni, posadzono na krześle, przed lustrem. Teraz z moją twarzą i włosami zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Pani charakteryzatorka pomalowała mi powieki na kolor zielony, usta na czerwono, przykleiła sztuczne rzęsy. Całą twarz wysmarowano mi dokumentnie brązowym kremem i przysypano pudrem, włosy utapirowano — słowem wyglądałam jak strach na wróble w podupadłym gospodarstwie rolnym.

— Możesz iść na plan — powiedziała pani, która mnie tak „urządziła".

Na planie, czyli w dużej hali, stały jakieś trzy stare krzesła na tle ściany w śmieszny wzorek. Tam kazano mi usiąść. Naokoło ustawiono niezliczoną ilość reflektorów na długiej bambusowej tyczce. Operator dźwięku krzyknął:

„Cisza!" Reżyser — „Zaczynamy"! I nagle koło nas wyrosła jak spod ziemi pani trzymająca specjalną tabliczkę, gdzie było napisane kredą: „Dziadek do orzechów" scena I.

— Klaps — opuszczony na tabliczkę kawał ramki wydał charakterystyczny dźwięk. Pani z tabliczką zniknęła. Zaczęło się kręcenie. Tę jedną scenę powtarzano chyba z dziesięć razy, bo albo ja za cicho coś powiedziałam, albo Marynia źle spojrzała. A pani reżyser miała nawet uwagi do tej prawdziwej aktorki.

Wreszcie o godzinie trzeciej skończono kręcenie. Byłam wykończona, marzyłam, żeby spokojnie położyć się na swoim łóżku. Dopiero w garderobie, gdzie zdejmowałam z siebie te straszne ciuchy i myłam się ze szminki, dowiedziałam się, że to dopiero próbne zdjęcia i po nich okaże się czy w ogóle nadaję się do filmu.

Nie wypadłam chyba najgorzej, bo po paru dniach kazano mi chodzić na przymiarki do pracowni krawieckiej. Szyto dla mnie śliczną suknię: zieloną z długimi rękawami w bufy. Rękawy i dół sukni wykończony był grubymi falbanami z koronki. Miałam też kapelusz w kształcie budki w kolorze różowym. W pracowni spotykałam znanych mi z filmu i z telewizji aktorów, którym też szyto specjalne kostiumy do filmu. Przychodził pan Gliński, Dzwonkowski, Niemczyk, a najbardziej podobała mi się pani Wrzesińska — śliczna. Maryni z „Violinka" szyto aż pięć sukien i koszule nocne, które wyglądały jak suknie balowe. Dostałam lakierowane czarne czółenka i białe pończochy. „Gdyby się tak pokazać w szkole na zabawie karnawałowej" — marzyłam.

Wszystkie stroje były już gotowe i znów przyjechał po mnie samochód o siódmej rano. Teraz w atelier zbudowane były trzy duże pokoje. Sypialnia, jadalnia i salon, gdzie właśnie miano nakręcać pierwszą scenę. W salonie stały stare meble: kanapa, fotele, fortepian. Ustawiono śliczną, prawdziwą choinkę ubraną w mnóstwo zabawek. Ściany poobwieszano portretami i starymi rysunkami. Wisiał też zegar, z którego wyskakiwała kukułka. Wszystko było prawdziwe, w tym pokoju oprócz sufitu, bo zamiast niego było mnóstwo reflektorów. Prawdziwe były też ciastka i herbata w cienkiej porcelanie, którą poustawiano na stole. Ubrano mnie w moją suknię, ucharakteryzowano i wprowadzono do pokoju, gdzie na fotelach siedziała ciotka Michalina, generał Frycek, Marynia i jej ojciec, czyli mój wujek, i ja.

I znów zaczęło się czekanie, przestawianie, zmienianie. Oświetlano nas przez cały czas reflektorami, bolały mnie oczy, głowa. Pociłam się strasznie. Prawdziwi aktorzy dostali scenopis, gdzie były opisane wszystkie sceny w tym filmie oraz to, co mówią aktorzy. Ja nie miałam scenopisu, bo ostatecznie pani reżyser postanowiła, że będę mówiła tylko jedno zdanie:

— A Marynia kłamie!

Było mnóstwo prób, w których kazano mi się bawić lalką. Nareszcie odezwał się klaps. Sama scena nie trwała dłużej niż dwie minuty, a przygotowywano ją chyba około dwóch godzin. Kiedy skończono, wszystkie panie pracujące przy tym filmie dostały po jednym goździku — ja też. Był to uroczysty moment — nakręcono pierwsze ujęcie w filmie pt. „Dziadek do orzechów". Przez trzy dni spędzałam po osiem, dziesięć godzin w atelier. Ze szkoły mnie zwolniono.

Sceny, w których miałam wziąć udział, już nakręcono. Ale to jeszcze nie koniec mojej przygody. Na wiosnę mają kręcić plenery, to znaczy zdjęcia na powietrzu, w których też mam wziąć udział. Czy zostanę kiedyś aktorką? Nie wiem. W każdym razie film to bardzo ciekawa, ale strasznie męcząca przygoda.

AGNIESZKA

Ciekawe

Smak w nogach

● Motyl, który przysiada na konicznie albo na innym wonnym kwiatku, zmysł smaku umiejscowiony ma w nogach.

Najczulszy instrument

● Badania wykazały, że oko ludzkie, które przyzwyczaiło się do ciemności, jest 300 tysięcy razy bardziej wrażliwe na przyćmione światło, niż najbardziej czułe instrumenty fizyczne.

Krokodyl w sieci

● Afrykański krokodyl wypłynął w ocean, by posmakować morskich ryb. Tu spotkała go jednak niezbyt miła niespodzianka — wpadł w sieci zastawione przez radzieckich rybaków. Niemałe było ich zdziwienie, gdy wyciągnęli na pokład tak niezwykłą zdobycz.

Pojedynek z wilkami

● Na ośnieżonym stoku Gran Sasso, najwyższego szczytu w łańcuchu Gór Apenińskich, doszło do pojedynku między 80-letnim pasterzem owiec a kilkoma zgłodniałymi wilkami, które zaczęły atakować owce i próbowały nawet rzucić się na pasterza. Sędziwy pasterz unieszkodliwił kijem jednego wilka, a reszta napastników ratowała się ucieczką.

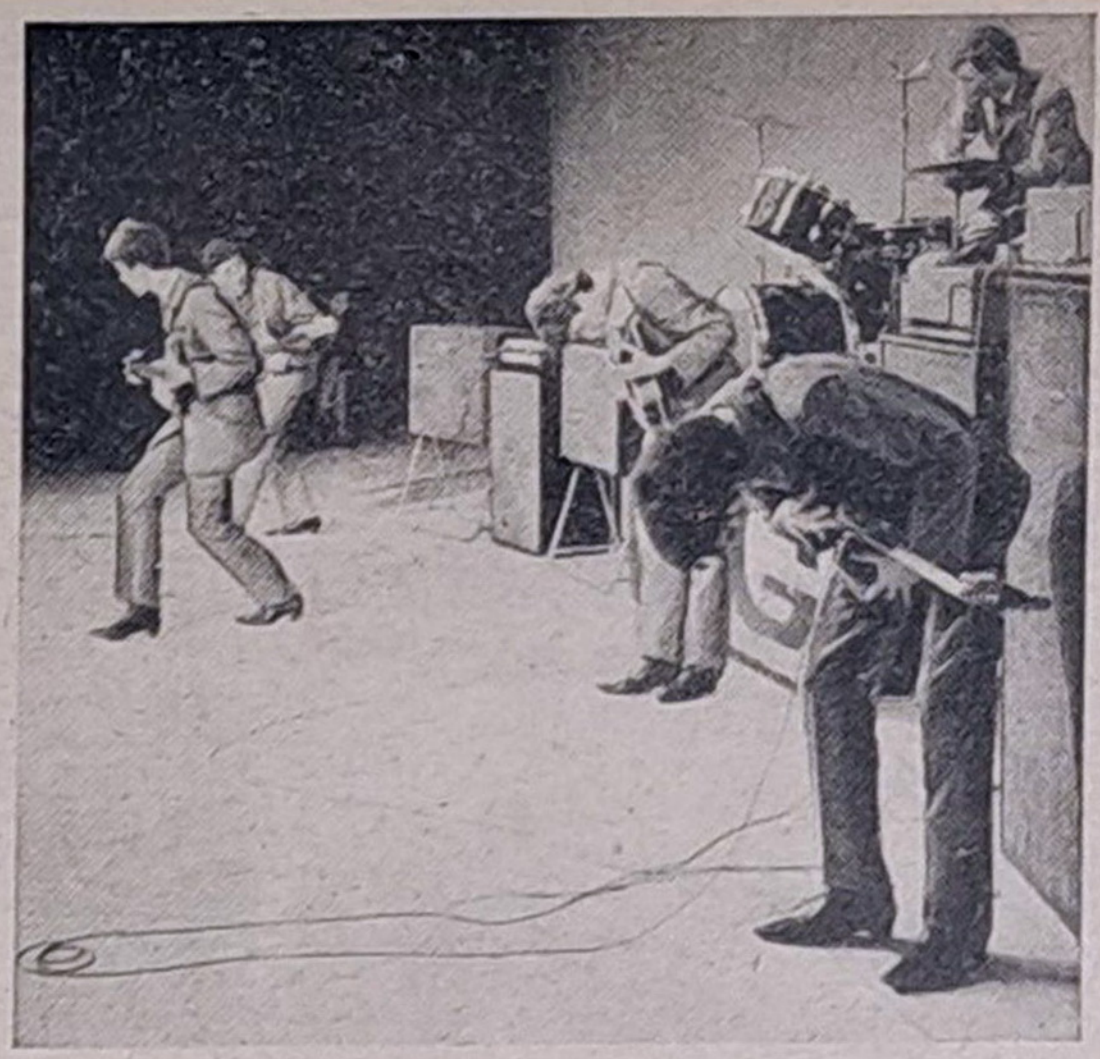

Spotkania z „Czerwonymi Gitarami"

Dziś mam wolny wieczór **pierwszy od miesiąca...** — śpiewają Czerwone Gitary, a ja o takiej właśnie porze dnia spotkałam się z zespołem, którego jestem entuzjastką.

Z krótkiej rozmowy przeprowadzonej z kierownikiem muzycznym Jerzym Kosselą i z Bernardem Dornowskim postanowiłam zrobić wywiad. Pytania, które zadawałam chłopcom, obmyśliłam wcześniej. Starałam się, aby nie były zbyt tuzinkowe w stylu — jaki zespół, czy jaką piosenkę najbardziej lubią. Bo przecież trudno, aby pięciu chłopców, posiadających różne wykształcenie, skrajnie się od siebie różniących, w jednakowy sposób lubiło Beatlesów, czy ich nieśmiertelny „Help".

— Jako zespół Czerwone Gitary — rozpoczyna naszą rozmowę Jurek — istniejemy od 2 lat. Przedtem graliśmy w różnych innych grupach big-beatowych. Spotkaliśmy się w Trójmieście, gdzie mieszkamy, komponujemy nasze utwory, przygotowujemy się do występów. Wspólne próby odbywają się rzadko z powodu braku czasu. Często zdarza się, że jeśli któryś z nas skomponuje piosenkę, nie podoba się ona pozostałym i wtedy cała, kilkumiesięczna nieraz praca idzie na nic.

— A teksty?

— Najczęściej piszemy sami, albo prosimy o nie zaprzyjaźnionych literatów. Kiedy utwory są już przygotowane, jedziemy do Warszawy, aby je nagrać dla radia i na płyty. Czasem mamy występy w Telewizji, no i oczywiście koncerty.

— A jeśli chodzi o tournée zagraniczne, czy gdzieś wyjeżdżaliście?

— Nie, chociaż bardzo byśmy chcieli zdać egzamin przed obcokrajowym audytorium, ale to nie od nas zależy. Proponowano już nam kilkakrotnie wyjazd, ale w piątkę. A przecież nie możemy ruszyć się bez technika. Bo co będzie, jak nawali nasz ważący 1200 kg sprzęt?

— Czy na zakończenie naszej rozmowy zechcielibyście opowiedzieć jakąś przygodę z występu?

— Bardzo chętnie. Otóż będąc niedawno w terenie zauważyliśmy ze sceny, że wśród młodocianej widowni siedzi staruszek lat około 70. Myśleliśmy, że może ktoś go oszukał wręczając mu bilet. Jednak spróbuj sobie wyobrazić nasze zdziwienie, gdy w II części koncertu dziadek tańczył ze wszystkimi Quicka, a z miny jego było widać, że świetnie się bawi.

— Warto jeszcze dodać — wtrąca Benek — że jak się później okazało, staruszek nie tylko wiedział, na jaki koncert idzie, ale, aby nas móc usłyszeć i zobaczyć, przeszedł 7 km. bo taka droga z jego wsi do miasteczka, w którym występowaliśmy.

— To chyba najlepiej świadczy o tym, że jesteście popularni i lubiani nie tylko przez nastolatków, ale i przez starszych.

— Czy możecie zdradzić jeszcze swoje przyszłe plany?

— Mamy ich wiele, ale pozwól, że zatrzymamy je na razie w tajemnicy.

Tyle o zespole. Mogę jeszcze dodać, że niedługo powinny się ukazać w sklepach dwie nowe czwórki i pierwszy long-play z nagraniami Czerwonych Gitar.

Rozmawiała
EWA STEINMETZ

MUZYCZNA NOWOŚĆ

W Fabryce Instrumentów Muzycznych w Lublinie opracowana została pod kierunkiem mgr inż. Pawlika dokumentacja 8 typów gitar, z których 6 zostało zatwierdzonych do produkcji seryjnej. Są to instrumenty o 6 strunach z nawojem płaskim, z przetwornikami elektromagnetycznymi i potencjometrami oraz pudłem rezonansowym.

Na zdjęciu jeden z członków zespołu konstrukcyjnego z nową gitarą elektroakustyczną.

Foto CAF

Cezary Chlebowski

„NA RATUNEK CICHOCIEMNEMU"

(5)

rys. J. Rocki

ODSKOK z przygodami

TRZYDZIEŚCI METRÓW przed bramą więzienną stoi ciężarowy ford „Montera". Silnik cicho pracuje. Przed chwilą za wielkimi wrotami zniknął opel. Właśnie zza muru dochodzi odgłos strzału. „Monter" przełyka gęstą ślinę. Obok niego dygoce nerwowo „Pakunek", za trzy minuty mają podjechać pod bramę.

W wąskim kręgu przyciemnionej latarni ulicznej wyrasta naraz pięciu żandarmów. Idą równym, kołyszącym krokiem, krótkie szyjki bagnetów dźgają ciemność. Są o pięćdziesiąt metrów przed wozem.

— O Jezu, o Jezu — szepcze „Pakunek".

— Weź klucz i właź pod wóz — głos „Montera" jest drewniany, beznamiętny.

Chłopiec wtula głowę, potem desperackim ruchem łapie klucz i wypada z szoferki. Żandarmi otaczają już wóz. „Monter" podaje im książkę wozu i rozkaz wyjazdu.

— W porządku. Dlaczego stoisz?

— Sprzęgło nie zwalnia. Pomocnik poprawia. No, długo tam jeszcze? — krzyczy w stronę „Pakunka".

— Chwilkę, chwilkę — odpowiada chłopak.

Żandarmi zaglądają pod samochód i przez chwilę rozmawiają po niemiecku.

— Spiesz się, a jak się całkiem ściemni, nie jedź do Brześcia. Cała szosa pod kontrolą ruskich partyzantów. Jest to coś poważnego, jedź do naszych garaży, tam ci nareperują. Wiesz, gdzie to jest?

— Zapytam się, odpowiada zdenerwowany „Monter".

Zgodnie z harmonogramem akcji już powinien podjeżdżać, a tu żandarm wyciąga kartkę, ołówek i zaczyna rysować drogę dojazdu. Na szczęście „Pakunek" wylazł spod wozu i „Monter" wrzuca pierwszy bieg. Wóz powoli rusza.

— Jak by ci się znów zepsuło, to nie jedź nigdzie tylko do naszych garaży — krzyczy za nimi żandarm.

Przejeżdżają szybko przed więzieniem, a gdy żandarmi nikną w mroku, wstecznym biegiem cofają samochód na stanowisko.

Nie daleko przed szkołą stoi kilkudziesięciu żołnierzy niemieckich wybierających się widocznie z przepustkami na miasto. Do bramy więziennej podchodzą co chwila strażnicy spieszący na wieczorną zmianę. Trochę ich zapewne dziwi kolega na wartowni, który wypuszcza tylko pojedyńczo. Naraz pod bramę podjeżdżają sanki z dwoma podchmielonymi wartownikami. Obaj pchają się w furtkę jednocześnie. Powstaje zamieszanie. Woźnica sanek ciekawie przygląda się sprzeczce i niespokojnie się wierci.

— Wyjdź i każ mu się usunąć z tymi saniami, bo tarasuje wyjazd oplowi. Tylko go przytrzymaj, aby nie odjechał i nie narobił bigosu, bo on coś za ciekawy. Przy okazji otwórz skrzynię — poleca chłopcu „Monter".

Obaj strażnicy tymczasem zniknęli już w furtce i „Monter" obserwuje wycofujące się sprzed więzienia sanki.

I właśnie w tej chwili otwiera się brama, „Monter" ściska w dłoni kolbę pistoletu. Wprawne jego ucho rozróżnia wyraźny gong opla. Osobówka wyskakuje szybko na ulicę — „MSZ" siedzi przy kierownicy, a w tyle trzech nieznanych ludzi. To znaczy, że się udało. Uf! Opel z wysokim gwizdem silnika znika na szosie prowadzącej do Brześcia i ostatnie co „Monterowi" rzuca się w oczy — to przechył wozu na lewą stronę — auto siedzi na tylnej oponie. To źle.

Z bramy wybiega „Ponury", a za nim żołnierze grupy uderzeniowej. Z pełnego biegu wskakują na skrzynie ciężarówki. „Ponury" liczy ich głośno. Już nikt nie wychodzi z bramy.

— Cholera, dwóch brakuje — denerwuje się „Ponury".

Wreszcie są i ci maruderzy. Mają klucze od bramy i chwilę majstrują przy zamku.

— Zostawcie otwartą furtkę dla ucieczki pozostałych — poleca dowódca.

Wreszcie ford odjeżdża w kierunku Janowca. Za ostatnimi opłotkami „Ponury", siedzący w szoferce obok „Montera" — zastukał w okienko dzielące ich od ludzi na wierzchu. Na ten sygnał zaszurgotało coś na szosie. Na jezdnię poleciały kolczatki. Tędy już za nimi nie pojedzie żaden wóz, z całymi oponami, przynajmniej do rana. Przecięte druty uniemożliwiały zaalarmowanie innych placówek — chyba więc uda się odskoczyć w spokoju?

— „Monter", dowództwo poleciło po akcji spalić wozy i przedzierać się pieszo na Warszawę. Co ty na to? — pyta „Ponury".

— Ja? Mam odciski i piekielnie nie lubię chodzić pieszo — odpowiada „Monter".

— Podzielam twoje zdanie. Jedziemy wozem dalej.

Czternaście kilometrów za Pińskiem tuż przed maską pędzącego samochodu wyrasta rozpaczliwie machający „MSZ". „Monter", aby nie przejechać przyjaciela, o mało nie wrzuca samochodu w rów.

— Co do cholery?

— Weźcie nas. Zatarłem silnik. Dotąd jechałem na samej rajfie bez powietrza.

Robią zaraz miejsce w szoferce dla odbitego „Wani", ale i on i reszta uwolnionych odmawiają, ładując się na skrzynię. Teraz dopiero jest czas na powitania, całowanie i uściski.

„Monter" pokazuje unieruchomionego opla i pytająco patrzy na „Ponurego".

— Spalić!

Jeden kanister benzyny oblewa wóz, drugi niknie w jego wnętrzu. „Monter" odprowadza forda na bezpieczną odległość i ciska za siebie granat zapalający. Huk, błysk i na niebie rozlewa się jasna łuna. Teraz jak najszybciej trzeba odskoczyć od widocznego z odległości kilku kilometrów płonącego wozu.

Mimo wypadku z oplem wszystko jak dotąd idzie pomyślnie.

— Jedyne, co nam może pokrzyżować plany, to krótkofalówki — odzywa się „Ponury" — no, ale na to nie mamy rady.

— Nie było popłochu? — „Monter" dopiero teraz może się dowiedzieć choć pobieżnie, o przebiegu akcji za murami.

— Było trochę rozgardiaszu, ale szybko daliśmy sobie radę. W pewnej chwili uwolnieni zaczęli lecieć w kierunku bramy. Nie można było do tego dopuścić, bo przedwcześnie wywołalibyśmy alarm. Mają wyjść po naszym odskoku. Zostawiliśmy otwartą furtkę.

Na ciemnej szosie przed nimi miga umownym znakiem światełko „Monter" zwalnia, „Ponury" jednak dla pewności odbezpiecza pistolet i wyciąga granat zza paska. W świetle reflektorów już z daleka rozpoznają znajomą sylwetkę „Wujka". Za nim, pod drzewem, majaczy wielka bryła naładowanej ciężarówki. Ford staje przed tamtym wozem, „Wujek" w biegu jeszcze otwiera drzwi samochodu i łapie „Ponurego" za szyję.

— Jesteście, byki. To znaczy, że się udało. Gdzie „Wania"? — dopytuje się chaotycznie.

Ze skrzyni wozu zeskakują już „Ryś", „Azorek" i pomagają zejść „Wani". Całą trójkę przejmuje teraz pod swoją opiekę „Wujek".

— Kapitanie, mam tu dla pana takie legowisko, że lepszego w domu pan nie będzie miał — krzyczy wdrapując się na stertę towaru na swym wozie. Odrzuca kilka worków i spod nich wyłania się skrytka grubo wymoszczona sianem.

Wśród życzeń i pożegnań oba wozy rozjeżdżają się. Ford jedzie dalej na Horodiec, Kobryń i Brześć, zaś Chevrolet skręca ku Drohiczynowi.

Zbiegowie wciśnięci między wielkie płaty dykty, w narzuconych kożuchach na więzienne kitle, dygocą z zimna. Jeszcze nie bardzo zdają sobie sprawę z tego, że to już koniec z badaniami, że koszmar więzienia mają już tym rozem za sobą. „Azorek" zaczyna drzemać, dwom starszym jego towarzyszom nerwy na to nie pozwalają.

„Wujek" informuje, że niedaleko powinna być większa miejscowość, gdzie będą próbowali przenocować. To bezpieczniejsze niż jazda nocą. Jest już późny wieczór, gdy dojeżdżają do pierwszych zabudowań.

— Stój! — zatrzymuje ich komenda w języku rosyjskim.

Cdn.

SKARBY POLSKIEJ SZTUKI

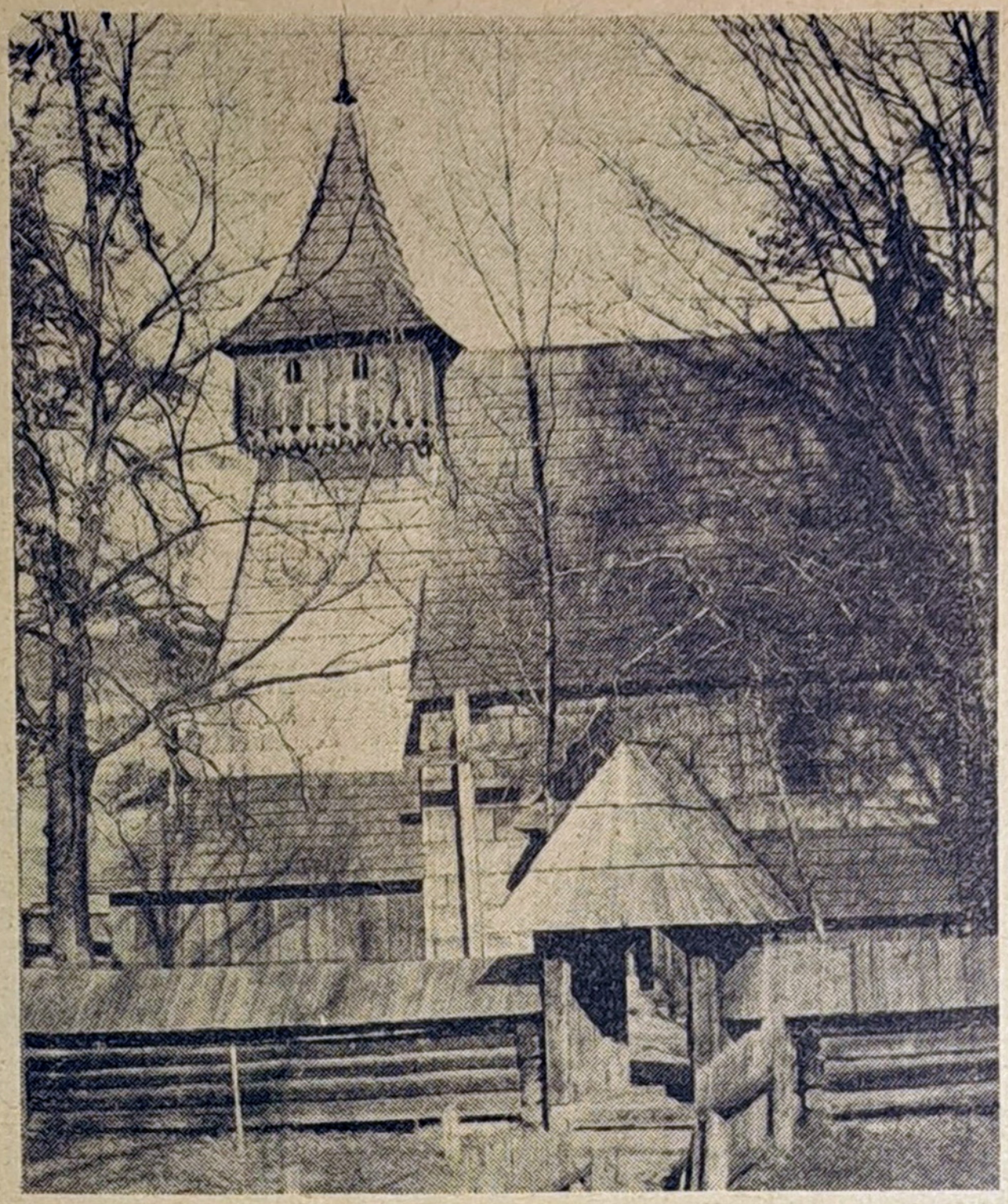

Podhalański „zbójnicki" kościółek zbudowano około roku 1500. Jest on zabytkiem tak cennym, że opiekuje się nim międzynarodowa organizacja UNESCO, działająca przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Drewniane kościółki spotkać jeszcze możemy na Śląsku i na Pomorzu.

Zbójnicki KOŚCIÓŁEK

LEGENDA POWIADA, że zbudowali go kilkaset lat temu podhalańscy zbójnicy. Mówią o tym ludzie z Dębna jeszcze dziś, ale romantyczną opowieść o cieślach -zbójnikach naukowcy uznali za nieprawdziwą.

Bo po pierwsze — nie ma żadnych śladów, które świadczyłyby, że tak dawno działali zbójnicy na Podhalu, a po drugie — w sąsiednich miejscowościach — Harklowej i Frydmanie, stoją drewniane kościółki, ogromnie podobne do tego „zbójnickiego". O tamtych jednak legendy nie mówią ani słowa. Górale nie są zbyt wdzięczni naukowcom za prawdę o ich kościele. Chętnie otaczają się tajemnicami, legendami, a już o zbójnikach... wiecie sami, ile na ten temat napisano i powiedziano.

Dębno podhalańskie leży 13 km za Nowym Targiem. Blisko stąd do Czorsztyna, a piękny górski krajobraz stanowi wspaniałe tło drewnianej budowli. Kościółek sam wrasta w ten krajobraz. Jego dach jest ostry i spadzisty, a ściany podobne są do budowanych „na zrąb" górskich chat.

Wąski strumień łagodnym półkolem biegnie wokół kościoła, a niewysoki drewniany parkan z wielkich bali, które górale nazywają „dylami", otacza go ze wszystkich stron. Parkan na całej długości kryty jest daszkiem, a dwa mostki i dwie kryte bramy, niby na wyspę prowadzą na kościelny dziedziniec.

STROP Z MALOWANYCH DESEK

CIĘŻKIE, żelazne okucia pokrywające drzwi prowadzą do ciemnego wnętrza. Trzeba przejść przez wysoki próg i schylić się trochę, by po chwili stanąć na nierównej drewnianej podłodze. Kiedy jesteśmy już w środku, jedna rzecz zadziwia nas z miejsca i osłupia — malowane ściany, malowana ambona, no i wreszcie malowany strop.

Kolorowa polichromia pokrywa strop w całości. Trwałe roślinne barwniki przetrwały setki lat, bo kościółek — tak jak malowidła, — pochodzi z początku XVI wieku. Wśród malowideł dostrzegamy wizerunki ptaków, jeleni i roślin. Jest też cały wyruszający na polowanie rycerski orszak. Brunatne, czerwone, zielone, błękitne i żółte barwy mienią się w oczach. Nanosili je średniowieczni malarze kolejno na poszczególne deski, które później dopiero wmontowywano w strop. Podobne malowidła pojawiały się również i w innych kościołach, ale żadne z nich nie są tak piękne jak polichromia z Dębna.

O RZEŹBIARZU JANOSIE I „HARNASIACH"

PRZEZ 500 LAT nie zmieniło się wcale wnętrze kościółka, nie zmienił się też jego wygląd z zewnątrz. Konserwatorzy zabytków dbają, by żadne nowe sprzęty nie pojawiały się dziś w średniowiecznym kościółku. Jak to się jednak stało, że surowi naukowcy pozwolili, by we wnętrzu stało kilka figurek i konfesjonał wykonany przez słynnego Janosa — ludowego rzeźbiarza i poetę z Dębna? Czy rzeźby, które wyszły spod ręki Janosa w wieku XX, nie psują charakteru i stylu kościółka?

Ano, nie psują. Dlatego, że Janos rzeźbi tak, jak rzeźbili jego poprzednicy — ludowi artyści sprzed wieków. Sztuką ludową rządzą trochę inne prawa niż „wielką" sztuką. Dziś np. nikt już nie rzeźbi tak, jak rzeźbiono w epoce renesansu, nikt już nie maluje tak, jak malował Matejko. W sztuce musi istnieć ciągły postęp, artyści szukają ciągle nowego. Inaczej w sztuce ludowej. Przydrożne świątki z odległej od nas o 400 lat epoki renesansu łudząco podobne są do świątków rzeźbionych przez Janosa.

Bogata sztuka ludowa często inspirowała wielkich twórców do tworzenia dzieł znanych dziś na całym świecie. Wiadomo, że Fryderyk Chopin komponował swoje mazurki w oparciu o tematy ludowych polskich pieśni. Wiadomo też, że inny wielki nasz kompozytor — Karol Szymanowski, przysłuchiwał się często góralskiej kapeli Bachledy. Do dziś żyją w Zakopanem grajkowie, z którymi chodził Szymanowski na wiejskie wesela.

Wszystkie zasłyszane pieśni i tańce przetworzył potem na język własnej muzyki i umieścił w słynnym balecie „Harnasie". Wielu innych kompozytorów, malarzy i rzeźbiarzy z całego świata czerpało tematy ze sztuki ludowej.

Kiedy siedziałem u rzeźbiarza Janosa i oglądałem jego świątki, artysta powiedział mi:

„Oglądam ci ja różne ksionzki i albumy, widzę różne nowocesne zeźby, ale ja nioge zeźbić tylko takie jak moje, innyk nie kce zeźbić."

W każdą niedzielę górale w białych bukowych portkach, kierpcach i okrągłych kapeluszach, góralki w szerokich chustach i lśniących serdakach wypełniają mały kościółek. Odświętne ludowe kubki, stoły i krzesła — piękne przedmioty, wśród których żyją na co dzień. W sklepach wielkich miast turyści kupują je za grube pieniądze. Sztuka miesza się z ich życiem, jest jego nieodłączną częścią, jest po prostu piosenką, którą zawsze się śpiewa, tańcem, który zawsze się tańczy, butami, w których zawsze się chodzi.

NAJSTARSZY OBRAZ W POLSCE

MALEŃKI KOŚCIÓŁEK jest jeszcze z innego powodu zabytkiem niezwykłym. Stąd właśnie pochodzi najstarszy w Polsce olejny obraz — malowany na desce fragment ołtarza z połowy XIII wieku. Z całego obrazu zachował się do dziś jedynie niewielki fragment przedstawiający św. Katarzynę i św. Agnieszkę. Bliźniacze głowy świętych z twarzami o ceglastych rumieńcach — ubrane są w bogate korony, zatarte i ledwie widoczne. Obraz mówi, że polskie malarstwo sztalugowe sięga odległej epoki romańskiej.

*

Średniowieczni cieśle i malarze, twórcy arcydzieła w Dębnie i innych drewnianych kościółków władali doskonale swoim rzemiosłem. Dzieła, które nam przekazali, stanowiły przez wieki, a i dziś przecież stanowią nieodłączną cechę polskiego krajobrazu — jak mazowieckie wierzby, czy wielkopolskie topole.

WIESŁAW HUDON
Zdjęcia autora

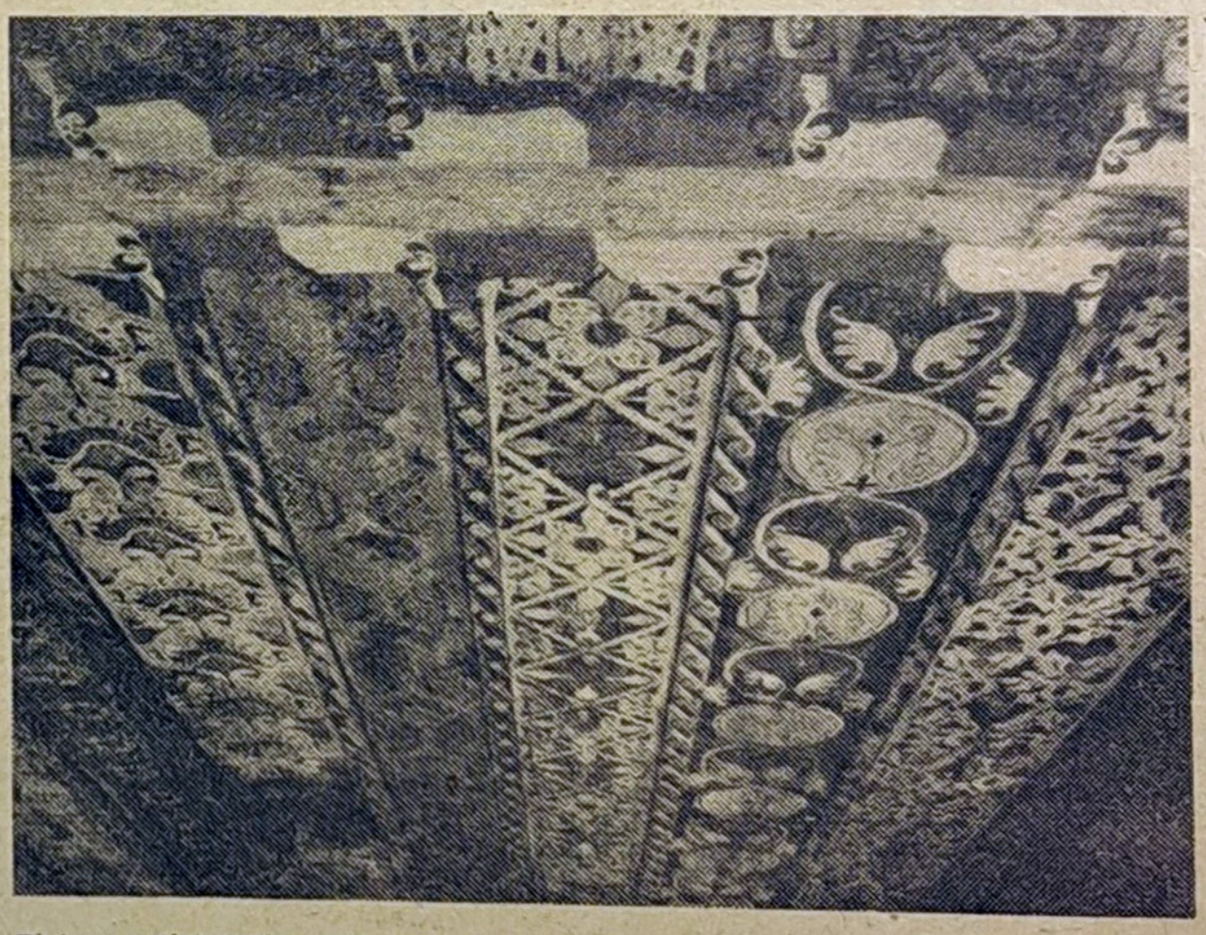

Piękna polichromia pokrywająca cały strop kościółka wykonywana była przy pomocy szablonu. Każda deska posiada inny ornament i malowana była na górze. Polichromia, najpiękniejsza ze wszystkich, jakimi pokryte są stropy i ściany drewnianych kościółków — pochodzi z około 1500 roku.

TYTUS ROMEK A'TOMEK

H. CHMIELEWSKI

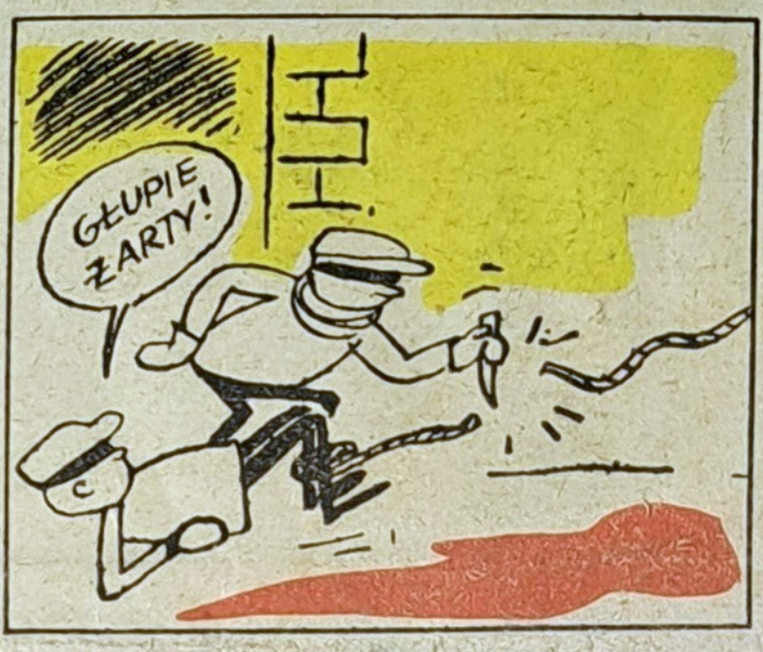

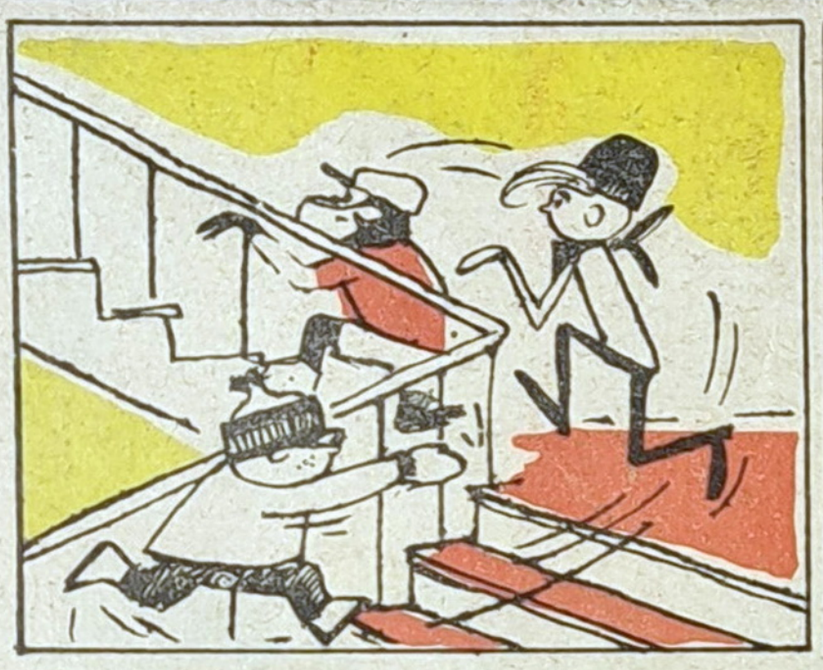

OFICEROWIE NA STATKU

...Wiem, że na statku handlowym jest kilku oficerów. Chciałbym wiedzieć, jaki jest ich podział pracy. Czy każdy oficer może zostać kapitanem?

Janek Mroziński z Rzeszowa

Z tym pytaniem zwróciliśmy się do wykładowców Państwowej Szkoły Morskiej w Szczecinie. Odpowiedzi udzielił nam kierownik Wydziału Mechanicznego mgr inż. Stanisław Kuszmider.

— Na każdym statku są dwie grupy oficerów. Jedna to oficerowie pokładowi (czyli — nawigatorzy) — drugą grupę stanowią oficerowie — mechanicy, którzy odpowiadają za urządzenia w maszynowni.

Dlatego też w Państwowych Szkołach Morskich istnieją dwa wydziały: mechaniczny i nawigacyjny.

Oficerów-nawigatorów w zależności od wielkości statku może być trzech lub czterech (oprócz kapitana). Rzecz jasna, pełnią oni wachty, mają też dodatkowe obowiązki.

I OFICER jest gospodarzem statku. Rządzi załogą, zajmuje się załadunkiem.

II OFICER dysponuje mapami, książkami. (Na dużych statkach może być dwóch drugich oficerów).

III OFICER odpowiada za środki ratunkowe (szalupy, pasy), przeciwpożarowe, za alarmy. Na mniejszych statkach, na których nie ma lekarza, posiada on przeszkolenie sanitarne.

Kierownikiem działu maszynowego jest oficer, starszy mechanik. Nie pełni on wacht. Natomiast pozostali oficerowie-mechanicy (w zależności od wielkości statku może być ich trzech lub czterech) pełnią w maszynowni czterogodzinne wachty.

Dowódcą statku czyli kapitanem może zostać tylko nawigator. Jego zastępcą również jest zawsze oficer nawigacyjny.

W.M.

Foto J. Dąbrowski

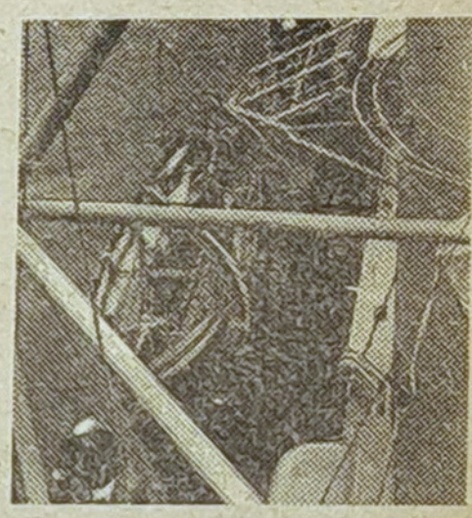

ŚWIAT HARCERSKI

GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół: Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa", WARSZAWA, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna 12.00 Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonoszewiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Zam. 92. T-68

Adres redakcji
WARSZAWA
ul. Mokotowska 24